Nr. 9. We Lwowie dnia 3. marca 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Mickiewicz a Słowacki.

Odczyt A. Langego, miany 24. listopada 1900 r. w towarzystwie akademickiem „Ognisko“ w Wiedniu, a powtórzony 22. stycznia 1901 r. w „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie.

Literatura polska jest dziś, zdaje się, jedyną, która swoich wielkich mistrzów romantycznych uważa wciąż jeszcze — jako żyjących pisarzy, nie zaś jako czcigodne pomniki historyczne. Do dzisiaj jeszcze zwracamy się do nich jako do wiecznie bijącego źródła życia narodowego — i pomimo tysiąca imion późniejszych, piór świetnych, rymotwórców doskonałych — do nich pójdziemy zawsze, jeżeli chcemy zaczerpnąć żywej wody prawd narodowych.

Niemcy wielbią Szyllera i Goethego, jako najwspanialszy wyraz swego geniuszu narodowego, ale nie pójdą do nich po proroctwa swego bytu; Anglicy nie szukają prawd narodowych w Byronie, a nawet Shelleyu; Francuzi nie zatrzymają już ducha na Mussecie i Wiktorze Hugo; dla Rosjan Puszkin i Lermontow — to dawne, cenne pamiątki piśmiennicze, ale nie twórcy Koranu.

Niemcy dziś mają nowych geniuszów, Ryszarda Wagnera i Fryderyka Nietzschego, którzy im nowe światy ducha otworzyli; Anglja ma Johna Ruskina i innych pisarzy natchnionych; Francuzi do niedawna mieli Ernesta Renana i Hipolita Taine'a; Rosjanie mają Tołstoja i Dostojewskiego; Skandynawja ma Ibsena. Bez względu na swoją wartość istotną, pisarze ci są wielcy zapładniacze ducha w swoim kraju i poza jego granicami.

Wszędzie, słowem, myśl narodowa o krok dalej się posunęła; wszędzie generacja nowa, jeżeli chce już nie rozwiązać, ale postawić sobie wielkie męczące zagadnienia ducha — znajdzie myśliciela, który wskaże jej drogę właściwą; jest to — jak zowią Niemcy — *Erzieher*, wychowawca, nauczyciel swego narodu, wszystko jedno, czy to będzie poeta, czy dramaturg, czy myśliciel analityczny.

W literaturze polskiej są dzisiaj znakomici pisarze, których sława nawet poza granice kraju się rozlewa; są świetni rymotwórcy, są szeregi powieściopisarzy, nawet w dziedzinie analizy i krytyki — wskazać można kilka wybitnych imion.

Ale nie masz ani jednego twórcy, któryby narodowi wskazywał nowe zadania, któryby mu dawał odpowiedź na najbardziej dręczące go zagadki. — Chcąc poznać to, co nas najwięcej boli i najwięcej ożywia — pójdziemy znów do owych trzech wielkich geniuszów romantyzmu — i zawsze do nich wracać będziemy, ponieważ w nich jedynie z n a j d z i e m y niewyczerpane źródło prawd narodowych. — Owszem — w nich, jakby w zarodku, znajdziemy Wagnera i Nietzschego, Ruskina, Ibsena i Tołstoja...

Z tego, com powiedział, wynikałoby, że, kiedy w innych piśmiennictwach myśl narodowa rozwinęła się o krok dalej, w Polsce ona się zatrzymała.

W pewnem znaczeniu tak jest! Do zadań, jakie postawili Polsce Mickiewicz i Słowacki, częściowo i Krasiński, nikt ani jednej joty nie dodał, i w istocie wciąż na tem samem miejscu stoimy, a wszyscy nowsi pisarze są tylko przerabiacze tych myśli, jakie w godzinie najwyższego natężenia ducha narodowego stworzyła wielka Trójca romantyków.

Powstał tą drogą jakoby Koran niezmienny, księgi święte ducha polskiego, których nadzwyczajna potęga świadczy, że ich twórcy mieli dla nas daleko szersze znaczenie, niż Goethe, Byron, Wiktor Hugo dla swoich narodów. Ale zarazem tak swoim ogromem wszystką późniejszą twórczość zasłonili; tak olbrzymie postawili narodowi zadania, że nikt już nie miał siły ich powiększać i rozwijać. To nie była już tylko sztuka i tylko poezja, to było życie samo tego narodu. Zdawałoby się, że po zjawieniu Mickiewicza i Słowackiego nic już dodać nie można do tego życia i do tej poezji. Dlatego to — mimo legjon pisarzy późniejszych — oni są dla nas najbardziej żywi i najbardziej nieśmiertelni; oni niezmierzonością swoją ocienili i oślepili niejako ducha generacji

późniejszych, tak, iż cała ich twórczość aż po dzień dzisiejszy jest tylko przetwarzaniem.

I to jest wielka tragedja literatury polskiej. To jest całe bogactwo i ubóstwo tej literatury.

Chociażbyśmy chcieli sztukę, poezję, jaknajoddzielniej od stosunków zewnętrznych rozważać, to jednak w Polsce jest to niemożliwe, ponieważ tu stosunki zewnętrzne tak cisną wszystko życie, że ta bolesna struna wszędzie i zawsze odezwać się musi. Poezja albo zamilknie, jak na Litwie i w Poznańskiem; albo sama siebie łudzi jakąś twórczością pozażyciową; albo wreszcie w głośnym okrzyku wyraża swe cierpienie. Ale okrzyk ten jest zawsze echem pieśni minionej, — minąć nie może, dopóki życie jednakie daje warunki.

Na początku XIX. w. pod wpływem różnych czynników — rewolucji, Napoleona, Królestwa kongresowego, szkół wileńskich, romantyki Byrona, poczucie narodowe w Polsce wybuchło z siłą tak natężoną i nieprzepartą, jak nigdzie na ziemi, i, o ile ta siła miała się wyrazić w poezji, musiałaby to być również poezja o niesłychanem natężeniu.

W istocie naród polski w XIX. w. znalazł się w zupełnie wyjątkowych warunkach. Zdawało się, że zawisnął nad nim wyrok zagłady; że losem jego w tym nowym porządku rzeczy — jest — zniknąć z powierzchni ziemi. I przez naturalną reakcję obudził go do życia ten sam głos, który niegdyś zabrzmiał nad wygnańcami z Edenu: „Rośnijcie i mnóżcie się!“ Staszyc mówił: „Przedewszystkiem życie — potem swoboda!“ Inne narody walczyły o prawa, o konstytucje, o układ polityczny: Polacy walczyli przedewszystkiem o pierwiastkowy fakt bytu!

To też nikt nie mógł na początku tego stulecia tak głośno domagać się prawa bytu, jak ten naród, w którym warunki historyczne obudzić musiały z siłą najżywszą ten zasadniczy instynkt ludzi i narodów.

Być albo nie być! oto jest pytanie, które stało wobec narodu na początku wieku.

W narodzie takim musiał się zjawić geniusz, któryby temu narodowi powiedział: Być!—któryby ten instynkt bytu upotężnił i uwiecznił! Musiał się zjawić w nim Mojżesz, któryby naród swój z egipskich mroków nicestwa wydobył na światło istnienia — i któryby wprost prawa jego bytu określił.

Takim genjuszem był Mickiewicz.

Mickiewicz jest centralną postacią literatury polskiej. Wszystko do niego dąży i wszystko z niej wypływa. O ile zaś literatura jest wyrazem duszy narodowej, o tyle Mickiewicz jest centralną postacią tej duszy, ponieważ on tę duszę wyraził w sposób najżywotniejszy i najprostszy. Ściśle biorąc, cała literatura dawniejsza — Kochanowski, Morsztyn, Krasicki, są tylko przygotowaniem do prawdziwie narodowej poezji Mickiewicza. W dawnych pisarzach było wiele cech ludzkich i obywatelskich, ale nie było narodowości. Wiek XVI. miał piśmiennictwo grecko-rzymskie, wiek XVII. był włosko-hiszpański, wiek XVIII. był francuski. Dopiero wiek XIX, dopiero Mickiewicz stworzył poezję polską; w Mickiewiczu poezja ta wyraziła to, co w narodowości jest rzeczą najpierwszą: instynkt bytu.

Wyraziła ona ten instynkt silniej, niż jakakolwiek inna, gdyż sama podstawa bytu narodowego była zagrożona i tem silniej, że w swoim okresie historycznym Polska tego instynktu właściwie nie miała, lub miała go w mierze niedostatecznej. Stąd powstało ogromne napięcie tego instynktu, który określił i utrwalił Mickiewicz, dając Polsce mannę, która wiecznie jego głód bytu zaspokajać będzie.

Dla tego to, odczuwając bezwiednie tę prawdę, że w poezji Mickiewicza zogniskowało się niejako samo życie ducha polskiego, naród cały ma dla niego taką cześć, jaką oddaje się prorokom.

Poezja Mickiewicza, to życie samo, i otóż my, nieodróżniając już poezji od życia, czcimy go raczej dla tysiąca względów, niż dla jego poezji. Mógł on powiedzieć, że jest miljonem, że kocha i cierpi za miljony, że objął w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia narodu, że kocha cały naród, jak kochanek, małżonek, jak ojciec: była to prawda żywa, ponieważ życie stało się u niego miłością i znowu ta miłość rozlewała życie dokoła.

Jasnowidząca ta miłość szukała wszystkich dróg i sposobów, aby żywot narodu utrwalić. On pierwszy był objawicielem przyrody polskiej. Stąd ukochanie wszystkiego, co narodowe, bez względu na to, czy jest złe, czy dobre, bo ten, co kocha pierwotnie, po macierzyńsku, kocha zarówno wady, jak i zalety umiłowanych.

Stąd Konrad Wallenrod, stąd owa nieporównana improwizacja Konrada, stąd Księgi pielgrzymie, stąd litanja: „O wojnę ludów powszechną, błagamy cię Panie!“ Stąd wreszcie cała ta modlitwa mistyczna, jaką jest czwarty rok wykładów o literaturze, gdzie — poprzez wszystkie osłony mesjaniczne przeziera jedna myśl, zupełnie praktycznego znaczenia, myśl obudzenia we Francuzach wiary w potrzebę odnowienia Polski; nawzajem Mickiewicz wierzył we Francję; w postaci Napoleona, w ideałach narodu francuskiego przeczuwał sojusznika tych drgnień życiowych, jakiemi chciał naród swój zapłodnić i ożywić.

Oczywiście najwyższą i ostateczną formą bytu była dla Mickiewicza niepodległość Polski. Rozumiał on, że ten naród niepodległy, będzie to naród wyjątkowy, wyższy nad inne ludzkie plemiona, naród arcychrześcijański, a którego żywot przyszły stanie się „realizacją“ słowa Bożego na ziemi. Owszem, i dziś — i w przeszłości widział Mickiewicz śród swego narodu cechy nadludzkie, pomazanie Boże... Jeżeli zaś dostrzegał w nim jakie błędy, to miłość niosła za sobą przebaczenie, gdyż ponad wszystko inne bolało go cierpienie tego narodu.

Bądź jak bądź, Mickiewicz z potęgą niesłychaną dał życie nieśmiertelne swemu narodowi i mógł powiedzieć:

Jam w mą Ojczyznę wcielony. — Ja i Ojczyzna — to jedno.

Przez Mickiewicza w krew i duszę Polaków wpłynął instynkt bytu, świadomy i nieprzeparty. Hamletowskie pytanie: Być — czy nie być! znalazło odpowiedź. Naród powiedział: być! i przez Mickiewicza – jest! Zadanie, jakie Mickiewicz postawił narodowi swemu, rozwiązane zostało prawie w całości, słowo, którego on był wcieleniem, stało się ciałem.

Z zasady życia płynie u Mickiewicza zasada miłości; z miłości nowe życie wypływa. Ale to nowe życie nie jest już życiem instynktowem, życiem dla życia: jest to życie świadome i twórcze.

I rzeczywiście, poeta, który się zjawił po Mickiewiczu, nie mógł tego samego ducha wywoływać; on musiał iść dalej. Wiktor Hugo powiada: Jezajasz nie powtarza Mojżesza.. On zaczyna tam, gdzie ów kończy...

Po Mickiewiczu przyszła nowa poezja, która już nie zasadę bytu wieszczyła, ale zasadę rozlewności bytu, rozszerzenia bytu, przewyższenia życia, zasadę nadżyciową!

Poetą, który po Mickiewiczu się zjawił i który musiał się po nim zjawić - jak pierwsze kwiaty po pierwszym deszczu wiosennym — był Juliusz Słowacki.

Jeżeli Mickiewicz — był Mojżeszem poezji polskiej, Słowacki był jej Jezajaszem. Między Mickiewiczem a Słowackim było za życia pewne przeciwieństwo, które się i dziś wyraża w tem, że jedni więcej się chylą do Mickiewicza, drudzy do Słowackiego. Są nawet tacy, którzy poniżają jednego kosztem drugiego. W istocie jednak stanowili oni dwa bieguny ducha narodowego — i dlatego właśnie owe — na dwóch krańcach dwa stojące bogi — mieli ze sobą więcej spólności, niż sami sądzili.

Mickiewicz jest wcieleniem harmonji nietylko jako dusza, jakby helleńską pogodą owiana, jednolita i krystaliczna, ale też jako stanowisko w rozwoju kultury. Wystąpienie Mickiewicza, które współczesnym zalśniło, jakby nagłe objawienie, zdawna przygotowywało się w piśmiennictwie. Zapowiedzi romantyzmu mamy jeszcze w fantastyczności XVII w., w Drużbackiej, w Karpińskim, w Niemcewiczu, Kniaźninie, w tłumaczeniach Osjana, w Woroniczu, w Bardzie polskim... Niezależnie od Mickiewicza — ukazała się Marja Malczewskiego. Przed Mickiewiczem Brodziński zaczął pisać Dwór w Lipinie — poemat, tonem i treścią zapowiadający pana Tadeusza.

Z drugiej strony Mickiewicz połową ducha jeszcze tkwi w XVIII w. — i w utworach jego aż do III. części Dziadów słyszymy echo Trembeckich i Karpińskich...

Słowem, jak w utworach Mickiewicza panuje równowaga i harmonja, tak też w samym sposobie przeprowadzenia reformy literackiej. — Mickiewicz wiąże dwa stulecia: XVIII i XIX, albo ściślej całą literaturę wieków ubiegłych z literaturą dni nowszych i raz tu jeszcze się potwierdza, że jest on postacią centralną, osią i kręgosłupem literatury i duszy narodowej. Jest to wielki inicjator obojga. Naród, który wydał proroka bytu — byt swój unieśmiertelnił.

(C. d. n.).

O Krzyżakach.

Przez

Marję Konopnicką.

5)

Bo co istotnie zastanawia, to silny instynkt, iż te rody, około wzniesienia których krzątają się jednostki, że te rody mają misję swoją dziejową. Że nie istnieją dla siebie tylko, i tylko — jako takie. Że nie obracają się około własnej osi. Że owszem gdy ród zczeźnie, i w ojczyźnie coś się skończyć musi. Że musi ulecieć z niej cząstka ducha, cząstka życia. Ztąd nietylko dbałość o ród i przywiązania do rodu, ale i poczucie wagi rodu.

Kiedy Maćko z Bogdańca błaga króla o łaskę dla Zbyszka, — „Królu! — mówi — tać to ostatni z rodu! Ulituj się ty nad rodem naszym!«

I zaraz uczuciem żalu za tym ginącym rodem porwany, chce za Zbyszkową głowę, własną głowę dać, iż stary już jest i synów rodowi nie spłodzi.

— Ciężko ci jest — mówi — iść człowiekowi na śmierć, alić lepiej, że człowiek zginie, niżby ród miał zginąć“. — Tak mówi Maćko z Bogdańca do króla.

A do Boga tak:

— „Panie Boże, skoroś nas — (niby Gradów) stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, żebyśmy nie zczeźli!“

Jeżeli jednak czucie wagi rodów było nieraz instynktowne tylko, pierwszorzędnym i zawsze świadomym siebie składnikiem uczucia rodowo-

wości było pożądanie sławy, i uwielbienie sławy. Sława — to było najcenniejsze, przekazać się synom i wnukom mające dziedzictwo; to był także klejnot najkosztowniejszy w spuściźnie po przodkach. Rody na sławie stały i sławą rosły. Jakoż, każda z tych kolumn, na których wesprzeć się miało sklepienie gmachu ojczystej wielkości, każda z tych kolumn miała głowicę uwieńczoną gałęzią wawrzynu. A jest to jedyny u nas motyw kapitelu, uznany w budownictwie rycerskich rodów.

Ale i dla siebie każdy rycerz marzy o tem, żeby „chodzić w sławie, jak w słońcu".

Żądza sławy, to żądza najgorętsza, od żądzy posiadania żywsza. I posiadanie bowiem — a to jest pięknym rodowodem naszej ziemiańskiej rzeszy — przychodziło dopiero za sławą.

A jest ta kolejność w poczuciu powszechnem tak naturalna, tak prosta, że długo opiera się na niej ustrój ekonomiczny kraju, jego stosunki polityczno-prawne.

Jakoż, klasy, nie mogące się okryć sławą, są klasami nie posiadającemi. I kto wie, czy przy tym instynkcie gromadności, którą Lelewel pilnie zaznacza, jako ważny element naszego charakteru narodowego, kto wie, czy chłopi byliby u nas tak długo odsunięci od posiadania ziemi, gdyby posiadanie to, właśnie od okrycia się sławą zależnem nie było. Świadczy o tem niechybnie otwarta droga nobilitacji dla wszystkich mężnych, droga, którą wiele chłopskich rodów między szlachtą szło, i nietylko na ziemiach królewskich kmieciami siedzieć, ale ją posiadać mogło. Że wspomnę tu tylko uszlachconych przez Batorego bohaterów Wielkołuckiej potrzeby, którzy nagle, tak jak stali, we *krwi* i w siermięgach, zabłyśli rycerską sławą. Ale jeżeli żądza sławy jest osobistą i rodową, uwielbienie sławy jest powszechnem i kosmopolitycznem. Cała ówczesna Polska pilnie dowiaduje się o postronnych wsławianych męstwem i siłą rycerzach; a za prostaka stoi ten, kto imion ich nie zna.

Najmilszą wszakże i sercom i uszom jest sława ojczysta.

— „Powiadajcie! Sławcie naszych!" — woła niecierpliwie szlachta, gdy Maćko, zmęczony wyliczaniem przewag polskiego rycerstwa — ustaje.

Bo to... sławienie jest ludziom owym, jakoby najcudniejsze pieśni i muzyka najsłodsza, która się nigdy, nikomu naprzykrzyć nie może. Bo ta ojczysta sława, to jakby wielkie, jasne ognisko, którego blask pada na wszystkich społem. Tu już ludzie chlubią się nie-tylko swojem, ale i cudzem męstwem; nietylko swoją, ale i cudzą siłą.

— „Tenby mnie zmógł" — mówi szlachcic o panu Powale z Taczewa, z taką przechwałką, jakby w tem zmożeniu sam część sławy brał. Więcej nawet: To jasne ognisko sławy ojczystej jest jak gdyby samym płomieniem narodowego życia, a świetny pióropusz jego zasłania sobą wszelką mękę i wszelką ofiarę.

— „Będzie sława! — wołają rycerze, na wieść o bliskiej już wojnie. Nie wołają: Będzie śmierć! — ale — „Będzie sława" !

Bo śmierci jakoś ci ludzie Sienkiewiczowscy wcale się a wcale nie boją. Nie już tej rycerskiej w boju, o którą zabiegają prawie, ale nawet tej zwykłej, wszystkim przyrodzonej; nawet tej, która katowskim mieczem godzi w młodą głowę i w młode nadzieje.

Leży Maćko z Bogdańca w gospodzie pana Powały z Taczewa, i Zbyszko też leży. A jest chwila po skardze Lichtensztejna o napad na tynieckim gościńcu. Chwila pełna niespokojności dla Maćka, co się stanie ze Zbyszkową głową. Stary władyka zasnąć nie może.

— Zbyszku? — rzecze. — A tamten:

— A co?

— Bo tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, że ci głowę utną.

A Zbyszko sennym głosem:

— Myślicie?

I odwróciwszy się do ściany, smaczno zasypia.

Kiedy znów Maćko z Bogdańca chorzeje na oną drzazgę żelazną z niemieckiego brzeszczota pod żebrem, — rozpowiada mu Zbyszko, jako Bogdaniec wykupi, a zaś na Mazowsze ruszy. A stary władyka:

— „Po mojej śmierci?"

Na co Zbyszko:

„Jeśli prędko zamrzecie, to po waszej śmierci; ale was wpierw godnie pochowam".

Bo i to należy do charakterystyki tego rysu, że ludzie dowiadują się ciekawie, jak pójdą sprawy, których dokończenia sami oglądać nie będą. Chcą owszem pewność co do tego mieć, że śmierć ich w niczem biegu spraw tych, i biegu życia nie przerwie.

Jakoż pilnie wypytuje Zbyszko stryja, jak i co będzie z Lichtenszteinem, gdy jemu kat głowę utnie? Idzie mu nie tylko o to, iżby zapowiedź rycerska, posłana Niemcowi była, ale chciałby wiedzieć, jak się bój odbędzie. Czy na udeptanej ziemi, czy konno, czy pieszo? — A stary:

— Abo tak, abo tak. Ale jeno na śmierć. Już ty się nie frasuj!...

A Zbyszko:

— Bóg wam zapłać! Lżej będzie umierać.

Nic twardszego na pozór, a w rzeczy nic bardziej rozrzewniającego, jak te rozmowy Maćka ze Zbyszkiem, czekającym kaźni.

— „Już ty się nie bój! — mówi mu raz stary władyka. — Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na ostatnim sądzie. Trumnę ci też kazałem sporządzić dębową, że i kanonicy od Panny Marji lepszej nie mają! Ba, i tego nie dopuszczę żebyć mieli ścinać na tem samem suknie, na którem mieszczanów ścinają. Już em się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe".

A w Zbyszku serce się uradowało, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, rzecze:

— „Bóg wam zapłać"!

Tak Maćko znów po chwili:

— I na msze ci też nie pożałuję. I tak idą te rozmowy, prawie że na progu śmierci, a Maćko rozpowiada o przedniości owego amylejowego sukna, jakby tu nie szło o podkład pod tę drogą głowę, która się po niem potoczyć miała, i za którą on sam przecież chce własną wzamian dać. Żadnego patosu, żadnego bohaterskiego gestu, żadnego robionego tragizmu. Zupełnie, jakby się toczyła sama fala życia. I tu jest ogromne mistrzowstwo Sienkiewicza.

Bo pomyślmy tylko, że to nie jest ani tępość tych ludzi, ani obojętność, ani brawura, ani nawet wzgarda śmierci, tylko sama treść dusz bardzo prostych i bardzo w tej prostocie mądrych; dusz, w których jest ogromna przewaga natury nad kulturą i które dlatego właśnie, i przez to, akty natury przyjmują spokojnie, bez wzdrygnień, bez dreszczów.

Pomyślmy, że te dusze są nam pokazane zarazem w męzkiej tęgości swojej i w swych rzewnych głębiach; w surowej powadze rzeczy wiecznych i w najpotoczniejszej naiwności, w bujnej sile życia i w śmiertelnem pogotowiu do grobu; w dziecięcej niemal wierze i w zdrowej jędrnej filozofji. A to wszystko przy pomocy techniki, opartej nie na kontrastach barw, i nie na stucznem dobieraniu ich i harmonizowaniu, ale polegającej na kładzeniu tuż obok siebie barw tych, tak, jak one pierwotnie istnieją w naturze samej. I to w szalenie natężonem świetle ostatnich momentów życia w świetle, które, samo jedno może, zdradza wszelki fałsz, wszelkie odstąpienia od prawdy i prostoty — na pół, na ćwierć tonu.

Więc tu nietylko trzeba było bystrego oka, żeby ten rys zasadniczy dusz owych wypatrzyć, ale ogromnej artystycznej miary, żeby się w odtworzeniu go ustrzedz wszelkiej jaskrawizny.

I nielada też ręki było trzeba, żeby całą tę rzecz, chwiejącą się między powiewem życia, a podmuchem śmierci, utrzymać w równowadze i swobodzie piękna. Żeby jej nie przechybnąć ani w stronę oschłości, ani w stronę gaskonady jakiejś.

Jedno co ułatwiało Sienkiewiczowi genjalne odtworzenie całego tego psychicznego momentu, to wniknięcie w te dusze naiwne i wzniosłe zarazem — od strony ich wiary.

Wiara ta, — wcale nie podobna do naszej — jest bardzo żywa, bardzo świeża, bardzo czynna.

Niema w niej żadnego zatopienia się w abstrakcji, żadnego skostnienia w teorji, żadnego — że tak powiem — zamykania się na głucho i na cztery spusty. Cały kapitał wiary tych ludzi jest kapitałem obrotowym ich życia.

Cały jest w obiegu praktyki codziennej, potrzeby potocznej, i w doraźnem stosowaniu w czynie.

(C. d. n.)

7)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Słyszał nieludzki wrzask za sobą, słyszał odgłosy pościgu, kamienie gradem furczały mu koło uszu, więc gnał coraz szybciej przez Ujazd do Terhanowa, skąd miał nadzieję dostać się później bezpiecznie do Kęt...

Na „placu boju“ cisza wracała zwolna. Przybek wydawał tu krótkie, ostre rozkazy. Strzelby, odebrane zwyciężonym przeciwnikom, ustawił w kozły; od burgrabiego, stojącego na czele strzelców, żądał zwrotu listów. A gdy ten jął się zaklinać, że nie ma żadnych, kazał go zrewidować. Nie znaleziono jednak przy nim ani świstka.

— I cóż teraz poczniemy? — zapytał półgłosem Macieja jeden z drażenowskich górali.

— Co teraz poczniemy? — powtórzył spokojnie Maciej. — Tych oto — i wskazał na strzelców i gajowych — puścimy do domu, ale broń ich palna u nas zostanie. Zatrzymamy również burgrabiego, aże nam pisanie oddadzą...

Mowę przerwał mu powrót chłopców, którzy ścigali Kosza. Wrócili z niczem, ale widzieli, dokąd umknął.

— Niech ta! — skinął Maciej obojętnie. — Uczynimy, jakech rzekł.

Jakoż stało się wedle jego rozkazu: strzelcy i gajowi zostali puszczeni na wolność, a burgrabiego odprowadzono, jako zakładnika, do domu Przybków.

W godzinę później, rządca Kosz wysłał z terhanowskiego zamku pewnego sługę, któremu wręczył zagrabioną korespondencję wraz ze szczegółowym opisem ostatniego zajścia w Ujezdzie. Sługa ów dostał się bezpiecznie polnemi drożynami do Kęt, gdzie oczekiwał już posłaniec konny, który puścił się natychmiast z otrzymanym pakietem do Pilzna, skąd papiery miały być przesłane Lammingerowi do Pragi. Sam zaś Kosz nie ośmielił się wracać tego dnia do Kęt, obawiając się bardzo słusznie, jakiej zasadzki ze strony Chodów.

Przez cały czas zawieruchy Hanka siedziała w obszernej świetlicy, tuląc do siebie przestraszone dziatki. I wtedy nawet, gdy burza minęła i na placu się uciszyło, ona, biedna, nie odzyskała spokoju. Myślała o mężu, przypominała, jak niechętnem okiem patrzał zawsze na bójki i zatargi z dworem. Cóżby dopiero powiedział, gdyby był tu teraz? Zresztą zajście dzisiejsze może zaszkodzić im w Pradze... Któż zgadnie, co z tego wyniknie?...

Hanka długo i gorąco modliła się tego wieczora, błagając Boga, aby odwrócił wszelakie zło najpierw od Jana, a potem od ich domu i od całej wioski.

* * *

Wieść o starciu górali z panami obiegła wnet cały kraj chodzki. Przyjmowano ją wszędzie z uznaniem, nie uważając za czyn karygodny. Wszak bronili się przeciwko gwałtowi, żądali zwrotu wydartej własności. Tem niemniej oczekiwano zemsty ze strony Lammingera.

— Niech-że przyjdzie — odpowiadał Przybek tym, co mu o tej zemście napomykali. — Będziemy się bronili. Minęły czasy, kiedy on nas krzywdził, a myśmy to znosili w milczeniu. Obiecałech wprawdzie Syce i Kozinie, że będę cicho siedział, ale któż rozpoczął?

W tym sensie dał też odprawę przysłanemu na trzeci dzień z Kęt przez Kosza posłańcowi, który żądał uwolnienia burgrabiego.

— A przyniosłeś pisanie, coście nam ukradli? — zapytał ostro zaraz na wstępie.

— To wasze pisanie pan rządca do Pragi odesłał — oświadczył posłaniec.

— Więc czegoż chcesz? — pocoś tu przyszedł? — srożył się olbrzym.

A kiedy ów zagroził, że przyjdą po burgrabiego — z wojskiem, Maciej wybuchnął wzgardliwym śmiechem.

— I owszem! — zawołał. — Ino wartko!

Z burgrabią jednak, którego więził w komorze, obchodził się nader grzecznie. Odpowiedź, dana wysłańcowi z Kęt w obecności starszych gazdów, przyjęto poklaskiem, bo nowy gwałt nienawistnego Lammingera oburzył ludzi nietylko w Ujezdzie i Drażenowie, lecz w całej okolicy.

Przybek, aczkolwiek pogróżki się nie uląkł, miał się jednak na baczności.

Z ramienia jego wysłani ludzie, obeszli wioski chodzkie, uwiadamiając mieszkańców o zapowiedzi Kosza i wzywając ich, aby byli gotowi, w razie potrzeby, do wspólnego działania. W samym zaś Ujezdzie i Drażenowie czuwały nocami rozstawione czaty. We dnie nawet chłopcy stali na straży po wierzchołkach gór i dalszych polach, zwłaszcza od strony miasta, skąd można było najprędzej oczekiwać napaści.

Niebo śmiało się jasną, stałą pogodą. Słońce lało potoki ognistego światła na ziemię i zboże dojrzewało szybko w żarzących jego promieniach. W Ujezdzie jednak nie panował zwykły o tym czasie ruch radośny. Reszta wesela uleciała po ostatnich wypadkach z wioski. Ludzie chodzili posępni, chmurni, — każdy czuł, że burza wisi w powietrzu.

Sam nawet Iskra Rzehurzek, wesoły kobziarz, zapominał o ciętych żartach i dowcipach. Dawniej nie byłoby mu tak markotno na duszy, ale teraz drżał o małego Jurka, o żonę. Troskę wielką sprawiała mu też długa nieobecność Jana. Czwarty tydzień upływał, a nikt z wysłanych do Pragi nie wracał... Miał-żeby proces trwać tak długo? — A teraz nowy kłopot z Koszem... Pięć dni wprawdzie już minęło od burzliwego zajścia, może więc groził jeno na wiatr, — może nic nie będzie...

Tak Iskra pocieszał żonę i ślepego ojca, z którymi siedział na dworze, przed chałupą. Był ciepły wieczór lipcowy. Księżyc świecił jasno nad górami. Dorla kołysała na kolanach usypiającego Jurka i z przyjemnością słuchała pocieszającej mowy męża. Stary ojciec jednak milczał i z niedowierzaniem chwiał głową.

Cisza panowała dookoła, — od strony lasu jeno szły westchnienia tłumione. Wtem coś się zabieliło na zboczach Hradku, wysoko ponad wioską.

— Widzisz, Dorlo, hań na Hradku? — zwrócił się Iskra do żony.

— Widzę. Kto to?..

— Chłopiec od Danjelów. Stoi na straży...

— O gdyby się to raz już skończyło! — westchnęła Dorla, a spostrzegłszy, że Jurek usnął na dobre, wstała, aby go zanieść do kolebki.

— Pódźcież i wy już do domu! — wołała na mężczyzn. W tem przyszła jej na myśl Hanka. Co, biedaczka, robi tam sama w chałupie? — Jak smutno jej być musi, — jak tęskno!

W chwilę później wszyscy już spali w domu grajka.

Lipcowa noc kroczyła majestatycznie nad krajem szumawskim. Księżyc, siejąc tajemniczą poświatę na lesiste zbocza gór, sunął niepostrzeżenie ku zachodowi. Głęboką ciszę przyrody mąciło chwilami ujadanie psów we wsi i na wzgórzach, kędy bieliły się żupany chodzkich czat, a także nawołujące się wzajemnie głosy ludzkie, głosy onych właśnie straży nocnych...

Poranny wiatr już wstawał, a na wschodzie ponad lasem niebo srebrzyło się zapowiedzią nowego dnia, gdy Iskra zerwał się nagle z posłania i poskoczył ku oknu, do którego ktoś pukał gwałtownie, wołając:

— Wstawajcie!..

— Kto tam?.. Czego chcesz? — pytał Iskra zbyt wczesnego natręta...

— Wstawaj ino, a wartko! Wojsko na nas ciągnie..

Głos umilkł — słychać jeno było za oknem szybko oddalające się kroki.

— Jezus — Marja! — krzyknęła Dorla i porwała śpiące dziecko na ręce.

(C. d. n.).

Tłumacz. *M. Wysłouchowa.*

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Kwestja stanu wody na Bajkale, ważną jest dla mieszkańców doliny Angary, szczególnie zaś dla miasta Irkucka, zbudowane jest ono bowiem na płaszczyźnie przybrzeżnej i co rok podlega zalewom, wprawdzie częściowym, ale wielce dotkliwym dla uboższej ludności. W miarę jednak stanu wyższego wody w jeziorze, wylewy rzeki wzmagają się znacznie, tak np. w roku 1869, gdy wskutek deszczów niezwykle obfitych, woda na Bajkale podniosła się na 164 cm. powyżej zera, to Angara zalała w czasie swego zamarzania prawie trzecią część miasta. Wylewy rzeki przypadają o niezwykłej gdzieindziej porze roku, bo w początku stycznia, albo w końcu grudnia, czyli w tym czasie, kiedy Angara pokrywa się lodem. Wylewy są spowodowane zatorami, które wytwarza miękki i plastyczny lód, formujący się zwykle na dnie rzeki i podejmujący się następnie na jej powierzchnię. Lód taki nazywają Sybiracy „szugą", Mazurzy zaś nasi na Syberji przezwali go „masłem lodowem". Woda w rzece przed zamarznięciem na powierzchni, niesie całą massę „szugi", zapycha nią koryto i tamuje bieg wody, wskutek tej okoliczności, woda, jak powiadają, „spiera się", poziom jej wznosi się raraptownie, rzeka występuje z brzegów, przenika przez żwir gruby, nadbrzeżny, zatapia łąki, niziny, sioła i miasta i dopiero wtedy, gdy pod ochroną lodu twardego, który się zdołał utworzyć na powierzchni zatoru, pewna część „szugi", zostanie albo stopiona przez wodę, albo uniesiona w dół po rzece, pod lód już dawniej uformowany, wtedy łożysko się oczyszcza, Angara wraca znowu na swe miejsce, znacząc tylko lodem po dolinie, lub po ulicach sioł i miast, zakres swej niedawnej, chwilowej wprawdzie, ale szalonej działalności. Groźną jest w dobie swego zamarzania potężna Angara. Żaden z dotychczas proponowanych środków, obmyślanych i wykonywanych przez miejscowych inżynierów, mających na celu ochronę miasta Irkucka przed wylewami rzeki, nie miał pożądanego i oczekiwanego skutku.

Tak n. p. nie pomogły tamy nadbrzeżne, wzniesione pracą rąk naszych rodaków w Irkucku. Doświadczenia w roku 1869 dowiodły, że woda występuje po za tamę, od spodu, często daleko od brzegów Angary; tam wznosi się ona raptownie, aż dosięgnie poziomu rzeki, płynącej pomiędzy wałami brzeżnymi. Woda przesiąka więc przez grunt grubo-ziarnisty, na którym miasto zbudowane. W roku, wyżej wspomnianym, woda miała wypierać podłogi w suterenach, wdzierała się od spodu do mieszkań, biła fontanną w studniach, zalewała dziedzińce i całe dzielnice miasta, nie stojąc na powierzchni w żadnym, widocznym związku bezpośrednim z wodą rzeki. Rozlawszy się po suterenach, lub mieszkaniach parterowych, po piwnicach, stajniach, dziedzińcach i ulicach, woda zamarzała bardzo prędko, a w otwartych miejscach prawie natychmiast na powierzchni, wskutek tego zamarzania utrudnioną była ucieczka dla osób, zaskoczonych niespodzianie powodzią, utrudnioną była również i akcja ratunkowa.

Ilu to ludzi zostało formalnie odciętych od świata i więzionych w pomieszkaniach przez lód, który się raptownie uformował w sieniach lub na dziedzińcach i zatarasował drzwi do wyjścia! Lokatorowie zatopionych pomieszkań ratowali się ucieczką na piece, a pod nimi na podłodze zamarzała woda, przeistaczając się w bryłę lodu, cementującą wszystkie meble i statki. Konie i bydło po stajniach i oborach, psy na łańcuchach przywiązane wmarzały w lód. Ci, co byli świadkami wylewu i brali czynny udział przy ratowaniu, gdy opisywali tę katastrofę, powiadali, że była to chwila rozpaczliwa w ich życiu.

Powódź nastąpiła w nocy ciemnej, a do tego wśród mgły gęstej, niesionej dość silnym wiatrem, przy temperaturze — 25° R. Blask latarni gasł zupełnie, wskutek tej okoliczności trudno było orjentować się nawet w najbliższem otoczeniu. Łodzie, płynące na ratunek, wmarzały w kry lodowe na ulicach i ci, co mieli nieść pomoc innym, sami byli narażeni na nieprzewidywane niebezpieczeństwa.

Długo po wylewie Angary w Irkucku, oglądać było można ślady niszczącej jej potęgi. Lód w wielu suterenach i piwnicach pozostawiono aż do wiosny, nie chcąc ponosić kosztów znacznych, jakie się okazały konieczne przy wyrąbywaniu. Wkrótce po wypadku, o którym tu mowa, kazano wykuć znaki na murach świątyń i gmachów rządowych, ażeby one ostrzegały potomnych, przed grozą wylewów Angary, które zdarzyć się mogą w przyszłości.

Zrazu nie umiano sobie wytłumaczyć powodów, dlaczego wylew rzeczony był o wiele większy niż zwykłe, doroczne; dopiero obserwacje, przeprowadzone nad poziomem wód Bajkału, wykazały, że wylew każdorazowy Angary i zakres jego działalności, stoją w związku najściślejszym ze stanem wody jeziora.

Angara zamarza nie jednorazowo na znacznej przestrzeni, lecz koleją miejscowych zatorów, którym towarzyszy zwykle wylew znaczny. Zamarzanie postępuje w kierunku od północy ku południowi. Często już naprzód z pewną ścisłością oznaczyć można, gdzie i kiedy w górę po rzece katastrofa zamarzania miejsce mieć będzie, skoro już niżej w danej okolicy rzeka lodem się pokryła. Znając tedy pewną ilość faktów, do-

tyczących obserwacji kilkuletnich, można przepowiedzieć czas wylewu i siłę jego dla różnych miejscowości. W taki sposób dałyby się umniejszyć straty, ponoszone z powodu wylewów i usunąć niebezpieczeństwa, grożące życiu ludzi i zwierząt.

Wygląd lodu na rzecze po jej zamarznięciu jest wielce oryginalny. Lód bowiem pęka pod naciskiem „szugi“, płynącej z tej części rzeki, która jeszcze nie stanęła; kry z połamanego lodu piętrzą się góry, wystając ponad powierzchnię ostrymi kantami w różnych kierunkach, w ten sposób powstają tak zwane „torosy“ czyli zatory. Przejazd wpoprzek rzeki po jej zamarznięciu nie jest łatwy i linja szlaku zimowego, pocztowego po Angarze nawet w samej stolicy kraju, bieży zwykle wężowatymi skrętami, omijając trudniejsze do wyrębywania przestrzenie, napotykane przy oczyszczaniu drogi przejazdowej. Z powodu tych zatorów lodowych, Angara utrudnia w zimie komunikację, tak jak to czyni i rzeka Lena na północy. W innych okolicach Syberji, mieszkańcy czekają z niecierpliwością na chwilę, gdy rzeki staną, gdyż odtąd po ich gładkim lodzie odbywa się przejazd i transport towarów, trakt pocztowy w zimie bieży po lodzie rzek. Tak np. wzdłuż Amuru i Ussuri, wzdłuż Ononu, Argunia i Jngody, pokrywa lodowa stanowi najlepszy trakt pocztowy, a po Amurze jedyną dogodną komunikację. Po lodzie rzek zabajkalskich odbywają się podczas zapust wyścigi i przejażdżki świąteczne, zabawy karnawałowe, wtedy na drogach, wysadzonych z obu stron choinkami, gwarno jest i wesoło, parobcy i dziewczęta na rączych koniach, czy to konno, czy saniami, najczęściej ze śpiewami pędzą w różne strony. (C. d. n.)

Wojciech Gerson.

Pięćdziesiąt lat już minęło, jak po rodzimych niwach, łąkach, dolinach i górach poszedł nowy wiew i przywiał z sobą gromadkę młodych ludzi, którzy z albumami pod pachą szukali w ojczystej przyrodzie i w ludziach, swojskich wrażeń i utrwalali je na kartkach albumów. Były to prawdziwe dzieci cudu, gdyż cudem niemal stało się, że ta gromadka wybiegła z chłodnych sal, w których panował surowy estetyczny klasycyzm.

Gromadkę tę składali Kossak, Tepa, Kostrzewski i najważniejszy, najlepiej się zapowiadający, Gerson. Wszyscy oni, a osobliwie ten ostatni mieli w sobie coś, co wspólne jest wszystkim dzieciom odrodzenia, mianowicie silną żądzę zrywania z bezpośrednią przeszłością i zaczynania wszystkiego od nowa. Dzisiaj, mając wszystko gotowem, mało się zna ową walkę jaką ci ludzie staczać musieli z samym materjałem fizycznym, potrzebnym do wyrażania swoich pomysłów. Gerson sam sobie mieszał farby, sam preparował oleje, a choć czasu schodziło mu na tem dużo, przecież on na marne nie poszedł.

Młody artysta, poznawszy rzemieślniczą stronę swej sztuki, władał nią potem tak, że mu we wszystkiem była posłuszną, a cudownym tego rezultatem było to, że w dziełach umiał ukryć cały mechanizm środków.

To też wszystkie płótna Gersona, czy należą do dziedziny obrazów historycznych, czy religijnych, rodzajowych, czyli też, najlepszych ze wszystkiego, pejzażów, odznaczają się techniczną doskonałością. Oczywiście, że jak kompozycji i rysunkowi, tak i kolorytowi zmarłego świeżo artysty, zarzucić by można wiele ze stanowiska dzisiejszej techniki kolorystycznej. Pleneryzm, wibryzm, impressjonizm, te odmiany naturalizmu w malarstwie, wycisnęły już na dzisiejszej technice takie piętno, stworzyły tyle niewzruszonych już kanonów, że każdy obraz Gersona, porównany z obrazem, odpowiadającym dzisiejszym wymogom techniki malarskiej, wyda się szary, brudny, nie dociągnięty w kolorze. Ale kto umie patrzeć w dzieła ludzkiego ducha i dopatrywać się głębszych między nimi wspólności i związków, ten pozna, że bez tych „gersonów“ nie byłoby może obrazków dzisiejszych, nowatorów, którzy tak sobie pozwalają nad oraczami swej gleby przechodzić do porządku dziennego.

Być może, że na tym lub owym historycznym obrazie jedna lub druga figura jest przerysowaną, upozowaną szablonowo, po akademicku, że w pejzażu niema powietrza, słońca itp. Nic dziwnego; Gerson wyszedł z formuł akademij i wiele z nich zostać w jego dziełach musiało. Ale zawsze on i jego towarzysze pierwsi wykazali, że skorupa akademickiego szablonu i rutyny jest do przebicia i że jest możliwem wydostać się poza jej powierzchnię. I ta właśnie rola wyswobodziciela stanowi jego zasługę. Z niej wyszły nietylko owe szeregi historycznych postaci w jego obrazach historycznych, ale i obrazy rodzajowe na których uczyć się można wprost etnografji, lub archeologii, a równocześnie śledzić drogę, którą duch twórczy usiłował się wykraść z krępujących go klasycznych szablonów.

Gerson był też pedagogiem. Raz nieświadomie, dzięki istocie swojego twórczego pędu a powtórnie świadomie jako profesor. I tu właśnie tkwi rdzeń największej tego artysty zasługi. Nie narzucając nikomu swojego sposobu widzenia, ani swojej maniery, umiał Gerson, jako profesor malarstwa, oswobadzać indywidualność swoich uczniów, ze wszystkiego, co obce jej i niewłaściwe i wychował tak cały szereg znakomitych artystów. Nie mówił, jak robić, ale uczył, jak nie robić, dając zarazem *in plus* i *in minus* przykład tego na własnych samorzutnie poczynanych obrazach. A jeżeli tam, gdzie, wyrwawszy się o własnych siłach, nie zawsze doprowadził daleko i na końcu tej własnej drogi była często maniera, to przecież już ze względu na intencje i ich skutki dla polskiego malarstwa, maniera ta zasługuje na uszanowanie i podziw.

Stojąc więc dziś nad świeżo usypaną mogiłą i patrząc na lecące na nią białe płatki śniegu, powiedzieć sobie należy, że tam pod tym, całunem, spoczywa jeden z prawdziwie *bene merentium.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.